

Osobliwy sposób walki z klęską społeczną Szkoly małżeństwa i narzeczeństwa

mają przeciwdziałać plagom rozwodów

Stany Zjednoczone są zatrzwocone wielką, wciąż wzrastającą ilością rozwodów. Powstała też akcja dla innych krajów zupełnie osobliwa, mianowicie specjalne kursy przy wielu uniwersytetach i nawet gimnazjach, mające kształcić kandydatów czy kandydatki do stanu małżeńskiego w ściśle określonym kierunku. Niedawno zaś założono w New Yorku nawet specjalną szkołę dla narzeczonych.

Osobliwą tę szkołę prowadzi nie jaka p. Boardman. Wychodzi ona z założenia, że szkoła powinna kształcić głównie w zakresie gospodarstwa domowego. Toteż pod jej kierownictwem uczenie zdobywają podstawy prowadzenia gospodarstwa domowego zarówno w tych warunkach, gdy wszystkie czynności gospodarskie trzeba załatwiać samej, jak i wtedy, gdy warunki materialne pozwalają na utrzymanie służby. Ze tego typu szkoła była w Stanach Zjednoczonych potrzebna, dowodzi okoliczność, iż zapisują się do niej kandydatki z najodleglejszych nawet stanów na Zachodzie.

NAUKA PANI DOMU

Kurs w szkole trwa trzy miesiące. Uczą w niej, jak prowadzić rachunki gospodarskie, dietetyki, sprawy zakupów w sklepach, dekorowanie wnętrz i wielu innych pożytecznych dla pani domu umiejętności. Jednego tylko uczennice szkoły nie robią wcale, mianowicie nie przeprowadzają najgrubszych robót porządkowych w kuchni.

Czego można się w tej szkole nauczyć, pisze jedna z jej uczennic, która już posiada dyplom. Opowiada o sobie, że doskonale potrafi sobie radzić z robotami z gospodarstwa, wie, jak należy robić wyprawę ślubną, umie też przyrządzać najróżniejsze potrawy i smakołyki.

Są to, co prawda, szczegóły bardzo cenne, dawna jednak teoria, że do serca mężczyzny trafia się przez żołądek, już teraz nie wystarcza. Kobieta, jeśli pragnie stworzyć prawdziwe szczęście małżeńskie, prócz wiadomości gospodarskich, musi też posiadać umiejętność znacznie trudniejszą do zdobycia, mianowicie znać istotę męskiego charakteru, bo tylko wtedy potrafi sobie dać radę z różnymi ewentualnościami i kłopotami, jakie codzienne życie małżeńskie nasuwa.

A ROZWODY MNOŻĄ SIĘ

Nie ulega wątpliwości, że ilość rozwodów w Stanach Zjednoczonych wciąż wzrasta, nie tylko bezwzględnie, lecz i procentowo. W roku 1867 było tylko 10 tysięcy

rozwodów, w roku zaś 1929 liczba doszła do 201.000. W r. 1870 jeden rozwód przypadał na 33 — 34 małżeństwa, a w roku 1934 już na 5 — 6 małżeństw.

Kto interesuje się procesami rozwodowymi, prowadzonymi w sądach Stanów Zjednoczonych, mógł stwierdzić, że powodują je głównie cztery następujące okoliczności: 1) młodzi są niedoświadczeni i nie powinni byli pobierać się; 2) biologiczne, psychiczne, etyczne czy ekonomiczne podstawy małżeństwa nie były uwzględnione w stopniu wymaganym; 3) młodzi nie umieją sobie radzić z zagadnieniami, które wysuwa małżeństwo i życie rodzinne; 4) w ciągu pierwszych najbardziej krytycznych lat małżeństwa młodym brakowało rady i przewodnictwa doświadczonych kobiet i mężczyzn.

Skończyły rozwody stały się w Stanach Zjednoczonych swego rodzaju klęską społeczną, zainteresowały się nimi najwybitniejsi

jednostki. Pisze wiele o nich znany sędzia dla młodocianych, Lindsey, kiedyś zwolennik tzw. małżeństw koleżeńskich, a dziś surowy wyznawca nierozdzielności małżeństwa, autor bardzo wielu sensacyjnych powieści, poruszających zagadnienia z życia codziennego. Lindsey jest zdania, że tylko przymusowe kształcenie, mające na celu nauczyć młodych ludzi różnych spraw małżeńskich i obowiązków rodzicielskich, może zapewnić szczęście i trwałość małżeństw.

Inny społecznik, sekretarz komitetu małżeństw i rodziny w Stanach Zjednoczonych, L. F. Wood, powiada, że na szczęście w małżeństwie składają się różne czynniki, przedewszystkiem zaś: właściwe traktowanie pici, zachowanie stosunku „zalecania się” i po ślubie oraz drobne codzienne uprzejmości, które ludzi wzajemnie do siebie zbliżają.

Kierowniczka ośrodka porad małżeńskich w New Yorku, dr.

Hannah Stone, utrzymuje, że szczęście w małżeństwie warunkują trzy następujące czynniki: 1) odpowiedni dobór eugeniczny, 2) gwarancja właściwego powołania typów, 3) właściwy pogląd na wychowanie dzieci. Uważa ona, iż żaden trwały stosunek małżeński nie może opierać się tylko na pociągu zmysłowym.

Zabiera też głos w tej ważnej sprawie kierownik fundacji odrodzenia ludzkości, istniejącej w Los Angeles. Kierownik ten, dr. Popenoe jest zdania, że do małżeństwa trzeba ludzi przygotowywać już od dziecka. Samo jednak przygotowanie materialne nie wystarczy jeszcze. Przyszli małżonkowie muszą się opierać na pewnych ideałach, muszą zdawać sobie sprawę, iż małżeństwo jest najważniejszą rzeczą, jaką mają w życiu do zrobienia, i że wszystko uczynić należy w tym kierunku, aby pożytki małżeńskie upłynęły w pogodzie i harmonii.

J. W.

Życie Lwowa powróciło do normy Szybki rozrost „Pracy Polskiej”

LWÓW, 13. 6. Po strajkach i licznych zjazdach, życie miasta powróciło do normy. Wprawdzie dają się odczuć jeszcze pozostałości strajku pracowników miejskich i strajku budowlanego oraz pozostały echa zjazdu pracowników kultury, oraz zjazdu Harcerstwa polskiego, ale te sprawy schodzą już na plan dalszy. Następnym wypadkiem ostatnich tygodni jest przedewszystkiem zmniejszenie aktywności komunistów i związków zawodowych.

Strajki załamały się głównie wskutek nieprzychylnych opinii publicznej w stosunku do nich. Socjaliści zrezygnowali ze swoich dążeń przeprowadzenia strajku „aż do zwycięstwa” — ustąpili. Komuniści nie byli dość silni, aby przeciwstawić się temu. Mimo odkomenderowania warszawskiej centrali znacznej ilości techników propagandowo-strajkowych, których zadaniem było zaostreżenie strajku, akcja ostatecznie zawiadła. Czynny udział w likwidacji strajku przy jednoczesnym poparciu żądań socjalnych robotników, okazała „Praca Polska” niedawno powstała narodowa organizacja robotnicza. Doprowadziła ona do arbitrażu, podjęto pracę. Strajkują obecnie jeszcze jedynie niewielkie grupy robotników, które nie poddały się

arbitrażowi, jak np. grupy robotników cegielni.

„Praca Polska” we Lwowie od ostatnich wypadków rozwija się szczególnie pomyślnie. Gdy przed kilkoma miesiącami liczyła zaledwie kilkuset członków, obecnie posiada już około 3 tysięcy członków zorganizowanych.

W „Pracy Polskiej” reprezentowane są związki metalowców, malarzy, lakierników, krawców, szewców, piekarzy, blacharzy, murarzy, stolarzy, cieśli itp. Or-

ganizują się związki pomocników handlowych i służby domowej, oraz inne grupy zawodowe. Wydaje się, że okrzepnięcie i wzrost sił tej organizacji narodowej sprzyjać będzie wejściu jej na tereny tego rodzaju jak handel i pomocy w organizowaniu nowych zarówno prywatnych, jak i spółdzielczych polskich samodzielnych warsztatów pracy.

Po ustabilizowaniu się władz miejskich, sprawy samorządu lwowskiego zeszły na plan drugi.

Coraz nowe Zajścia z żydami

Jak donosi prasa żydowska: Onegdaj o godz. 10 wiecz. do kawiarni Szymona Frydmana w Starej Miłośnie wtargnęła grupa chuliganów.

Po zdemolowaniu lokalu awanturnicy pobili Frydmana oraz żonę jego, zadając tej ostatniej cios w głowę.

Ranni małż. Frydman zostali przywiezieni do Warszawy i umieszczeni w szpitalu. Stan rannej F. jest ciężki.

Ostatnio zostali napadnięci

przez chuliganów i pobici kamieniami, żelazem bądź butelkami: Abram Micenbaum, (Świętojerska 1), Benjamin Świeca (Świętojerska 36), Ischok Goldfeld (Świętojerska 36), Pinkus Bursztyn (Kupiecka 9) i Chaim Mont (Krochmalna 17).

W Otwocku na ul. Krasińskiego jakiś opryszek poturbował Estere Frydman.

Niewiadomi sprawcy wybili w nocy kamieniami szyby w mieszkaniu Szmula Solwickiego.

W Otwocku wybuchł pożar w mieszkaniu Dwojry Bronet (Rejmonta 27). Ruchomości spłonęły. Straty duże.

Z teatrów

Profesja pani Warren

sztuka w 4-ach aktach G. B. Shaw'a
w Teatrze Malickiej

„Profesja pani Warren” należy do najwcześniejszych utworów Shawa, ale tak się składa, że jest w niej pewne podobieństwo tematyczne do ostatniej „Miljonerki”. I tu i tam rzecz obraca się dokoła pieniędzy. Epifania z „Miljonerki” jest, jak zapewnia autor, najbogatszą kobietą Europy, jeśli zaś chodzi o panią Warren, to jej majątek, uciulany na prowadzeniu do spóki z angielskim baronem, luksusowych domów publicznych, nie idzie wprawdzie w miliony, ale w każdym razie zamyka się w sumie dość okragłej, aby pozwalał jego posiadaczce brać z życia wszystko, czego zapagnie.

Od odległego czasu narodzin „Profesji pani Warren” przeszedł Shaw pewną t. zw. ewolucję „ideową”. Głośno były przed paroma latami załoty starego G. B. S. do młodego Z. S. S. R., który chętnie pada starszym, zblumowanym intelektualistom w ramiona. Shaw powrócił z Sowietów naładowany entuzjazmem. Ale widąc wrażenia, jakie stamtąd wyniósł, nie musiał być głębokim, bo w „Miljonerce” ani śladu jakiegokolwiek antykapitalistycznego spojrzenia na świat.

W „Profesji pani Warren” demaskując moralność klasy posiadającej, ukazuje siebie Shaw, jako zdecydowanego wroga kapitalizmu. I ta sztuka, mimo wielu anachronizmów, pozostała jeszcze żywa, bo czuje się, że ją pisał człowiek żywo reagujący na fałsz i niesprawdliwość.

Córka pani Warren odrzuca bogactwa matki i wybiera twarde, ubogie życie, gdy dowiaduje się, że pieniądze, które brała dotąd bez zastrzeżeń, pochodzą z brudnych źródeł. W „Miljonerce” nikt już nie pyta o źródła miljonów ojca Epifanii. Władzę Shaw zadaje sobie tylko trud

rozstrzygnięcia, w jaki sposób te bogactwa mają przysporzyć ludzkości szczęścia. I nie umie, biedak, wymyślić nic mądrzejszego, jak, złożyć je w posagu zwanemu lekarzowi egipskiemu. Smutne refleksje budzi ta „Profesja pani Warren” w zestawieniu z „Miljonerką”.

Przedstawienie sztuki Shawa w Teatrze Malickiej nie należy do udanych. Shaw pisze w taki sposób, że musi być doskonale grany. Jego ludziom brakuje pełnego życia i to życie muszą z sobą wnieść aktorzy. W innym wypadku sztuka Shawa rozmiąga się z efektem i staje się nużące. Tymczasem „Profesję pani Warren” zagrano słabo.

Na poziomie okazała się właściwie jedna tylko Marja Malicka. Przez cały sezon musieliśmy oglądać tę świetną artystkę w młodych, sentymentalnych rolach. Tym razem nareszcie coś innego: energia, chłód, stanowczość — wszystko podane z nieomylnym akcentem prawdy.

Powierzenie roli tytułowej Halinie Cieszkowskiej, było nieporozumieniem, które ujemnie odbiło się na całości przedstawienia. Z pozostałych wykonawców, zaledwie poprawnych, wyróżnił się Bonecki, jako pastor. Zato Wojtecki zrobił jaknajgorsze wrażenie.

Znaczną jednak część winy spada w tym wypadku na reżysera Sawana, który swoje go na tem polu debiutu, naogół opracowanego starannie, nie ochronił przed płaskimi efektami komicznymi. Jeżeli młody i nie doświadczony aktor, jakim jest Wojtecki, ma ochotę zgrzywać się to jest rzeczą reżysera umiejętnie temu zapobiec.

Dekoracje brzydkie.

Jerzy Andrzejewski

Na ekranach

„ADIEU” W KINIE „PAN”

Film z Margaret Sullavan, jak zwykłe sentymentalny, dający sposobność tej milej i sympatycznej artystce do wzruszających miniek, do rozczulenia widzów i podbijania t. zw. słodkości. Osobliwie nie przypadają za takimi cukierkami na ekranie, ale Margaret Sullavan jest artystką istotnie zdolną, co zadokumentowała w filmie „Zaledwie wczoraj”. Obecny jej film — „Adieu” jest znacznie słabszy.

„PROMENADA MIŁOŚCI” W KINIE „STYLOWY”

Ciepłe lato zbliża się coraz bardziej, w programach kin coraz więcej filmów sensacyjnych i lekkich ko medii muzycznych, o typie operetek lub rewii ze wstawką akcji, a recenzje... coraz krótsze. „Promenada miłości” nie wyróżnia się wśród serijnych filmów wytwórni „Warner Bros” robionych zazwyczaj poprawnie pod względem artystycznym, a bardzo dobrze pod względem kupieckim. Humy statystek, stroje, światła, efektowne dekoracje, reżyser — specjalista od rewii, oto atuty wytwórni.

Jest jednak jeszcze jeden atut, na który businessmeni z „Warner Bros” zamierzają zwracać uwagę — to Ruby Keller. Ta artystka, którą poraz pierwszy widzieliśmy w Warszawie w „Poszukiwaczce złota” ma wręcz niewywykły wśród gwiazd filmowych urok prostoty, swobody, naturalności i bezpośledności. Warunki zewnętrzne — doskonałe, gra — sympatyczna, o szlachetnym umiarze.

Ruby Keller jest główną atrakcją „Promenady miłości” — partner jej, Dick Powell, zmanierował się już od czasu „Poszukiwaczki złota”, gdzie z R. Keller tworzył młodzieńczy duet.

G. G. LARDELLI POLNA 30 LODY — TORTY — CIASTA
Jerolimiska 35

Z plastyki

MS „Batory”

W czwartek zawiązał do Gdyni m/s „Batory”, po powrocie ze swej pierwszej podróży do Nowego Jorku. Budowany w stoczni w Monfalcone, wewnątrz urządzony i dekorowany przez polskich artystów, rozpoczął z chwilą wypłynięcia na wody oceanu, propagandę naszej twórczości i naszej sztuki. Jak to tam było z tem urządzaniem statku wewnątrz — oto kwestia, interesująca niejednego artystę (i nie artystę, zapewne), toteż ci szczególnie, którzy dane było przy statku pracować, po powrocie byli poprostu przez kolegów oblegani. Nie można się temu zbytby dziwić, gdyż praktyki artystycznej w tym zakresie nie mamy, dlatego też praca podobna stała się do pewnego stopnia wyjązdem w nieznanym, ze wszystkimi emocjami przewidywać: „Utrafił, czy też nie utrafił w sedno rzeczy?”

W tym samym mniej więcej czasie wyruszyli, również poraz pierwszy, do Ameryki dwa nowe statki oceaniczne: francuska „Normandie” i angielska „Queen Mary”. Nasi artyści z „Batorego” bardzo się oczywiście interesowali urządzaniem tamtych statków, i gdy coś z tego zoba-

czyli, lub czegoś się dowiedzieli, zaraz następowały porównania: jak u nich, a jak u nas? Naturalnie, jeśli idzie o efekty cyfr, nie ma co marzyć o współzawodnictwie z takimi potęgami, jak chociażby wymienione statki, ale ponieważ efekt liczbowy nie zawsze jest efektem artystycznym, a często nawet mu przeczy, tu już mogliśmy mieć pewne dane, że nasza ambicja nie dozna zawodu.

W tym właśnie momencie, gdy zagadnieniem stał się rodzaj urządzania wnętrza statku, a nie koszt, od razu zarysowały się dobitnie różnice między naszymi i obcymi upodobaniami. „Queen Mary” i „Normandie” to statki „zapięte na ostatni guzik”, jak się wyraził prof. L. Niemojewski. Wszystko tam jest „naj”, wszystko ostatni krzyk mody, jednym słowem ostatni super-model produkcji 1936, jeszcze ciepły, prosto od krowy. Bardzo to się nasza podoba, zwłaszcza Amerykanie szaleją, ale za jakiegoś kilka lat ten dzisiejszy superszlagier będzie biednym „starem pudłem”, po pobiją go nowe, ostatnie modele, nowe „naj”, „naj”, „naj”.

Otóż myśmy postępowali inaczej. Nasz statek wydaje się na-

razie szary, nijaki (znowu cytuję prof. Niemojewskiego), ale za 10 lat (obliczony jest na 20) nie będzie nikogo raził. „Normandie”, ze swym stylem artystycznym wnętrza, wyda się wtenczas przestarzała, nie do zniesienia, będzie drażnić i śmieszyć, jak stara, niemodna suknia, której żadna kobieta za żadną cenę nie włoży, a nasz „Batory” wyda się wcale, wcale, owszem niczego sobie, bardzo nawet przystojny. Stara to prawda, że to, co zanadto podoba się dziś (jak modna piosenka), może nie wytrzymać próby jutra.

Tak się przedstawia, mniej więcej, nasz stosunek do zagadnienia dekoracji wnętrza okrętu. Nie mogąc i nie usiłując zdobywać pasażera przepychem i wspaniałością, pragniemy działać zespołem przemysłowych wartości estetycznych, pomysłem, a nie ilością i kosztem. Trzeba sobie uświadomić także, do jakich uchyłków nieraz podobne koncepcje trafiają. Na m/s „Pilsudskim”, wcześniej od „Batorego” zbudowanym, najwięcej się podobał Amerykanom bar. Jest w tym barze inkrustacja na ścianie, przedstawiająca stadko płynących rybek. Każdej rybce artysta zafundował inne oko. Amerykanie byli zachwyceni. „Odrazu widać, że to ręczna robota” — powiedzieli. Każdy z naszych plastyków.

pracujących na „Batory”, komplementował swoje dzieło trochę pomackami. Szukał, uczył się, doświadczał odrębności pracy na nowym, innym terenie. Nieraz zdarzały się omyłki; trzeba było niszczyć rzecz już skończoną i rozpoczynać wszystko nanowem. Dla zobrazowania rodzaju i atmosfery pracy na statku, dobrze będzie, gdy wam powtórzę, co mi opowiadał Bolesław Cybis (z „Bractwa Łukasza”), który do Monfalcone, na „Batory” pojechał, także jeździł. Widziałem się z nim, po powrocie, w klubie, ale tak go koledzy obsiedli, że poły ciągali: „A powiedz, a co tam, a jak tam?” — że trudno z nim było się dogadać. Dowiedziałem się tylko, że Mussolini ma artystów w wielkiej estymie i atmosfera do pracy jest tam nadzwyczajna.

Kilka dni temu udało mi się jednak przyłapać Cybisa na wspólnym zebraniu.

— Teraz kochasiu już mi się nie wymkniesz — powiadam. — Gadaj!

— A no dobrze, odprowadź mnie do tramwaju, to pogadamy. Przyjeżdżam, uważasz, do tego Monfalcone, a tu na „Batory”, powiadam ci — wretes i balagan straszny. Robotnicy, łażą, noszą, stukają, klepią, wbijają, windu-

ją — mówię ci, cholera! Stanałem i skrobię się w głowę, bo i co niby mam robić. Pruszkowski przed wyjazdem powiedział: „Tylko Bolek, żadnej tempery, żadnych twoich hokus - pokus z techniką, maluj olejno”.

(Tu muszę wyjaśnić, że Cybis jest znakomitym znawcą technik malarskich, a tempery i malarsztwa ściennego w szczególności).

— A ja olejno — mówi Cybis. — Nie to, żebym nie umiał, ale nie lubię, strasznie nie lubię. Miałem malować dekoracje ścienne w t. zw. ladies-bar; szkice kompozycji porobiłem, plany mam, tylko myślę, czemu tu malować? Stoję i patrzę, jak ci robotnicy i majstrzy robią rozmaite zaprawy do gruntowania statku, rozmaite szpachlówki, rozmaite jakieś pasty... stoję sobie i myślę: jeżeli tem wszystkiemu gruntuje się i maluje statek, to dlaczego nie użyć tego samego materiału — (uważajcie, bo to genialna myśl!) — do malowania mojej kompozycji. Przecież będę ja malował też na statku, bezpośrednio na deskach ściany, mogę więc zastosować ten materiał, udoskonalony i wypróbowany przez techników okrętowych. Powiedziane — zrobione, jak mówią Rosjanie. Kazałem sobie dać jedną i drugą taką mieszaninę, wypróbowałem na oddzielnych deskach, szorowałem, skro-

bałem — trzyma się świetnie. Udoskonalilem jeszcze kompozycję mieszanki, przez bardziej staranne przygotowanie — i farba do malowania gotowa! Malowałem tą pastą jednej barwy (białej), używając pozatem listka srebrnego do pewnych partii. Treść kompozycji widać było dzięki różniczkowaniu fakturowym (np. płaszczyzna włosów inaczej malowana, twarz — inaczej). To wszystko utrwaliłem jeszcze...

— Werniksem?...

— Gdzietam. Przysięgły spec od sztalug i olejnych obrazów użyłby pewno werniksu, ja wziąłem „marmol-lak”, wiesz, taki do lakierowania kominów na statku. Mówię ci, jak zaschnie, szklivo — kamień! Trzeba porąbać cały statek, inaczej mojej kompozycji nikt i nie nie zniszczy.

Od siebie muszę dodać, że koncepcja Cybisa — organicznego zespolenia malowidła dekoracyjnego, przez technikę, z samą techniką okrętową, została uznana przez największych wygów ze stoczni Monfalcone za rewelację. Na „Batorego” odbywały się całe pielgrzymki artystów, inżynierów i architektów. Autor tego pomysłu wrócił syt sławy i szczerzej satysfakcji artystycznej. Czy i gotówki też — nie powiem; niech się urząd skarbowy pomógł.

Wiktor Podolski.